

Barbara Wauben-Czekalska

FLAKI RABINOWEJ*

Stary, miedziany klucz. Tandetny barek na wykwintne i rzadkie trunki, na oko datujący się na czasy wczesnej komuny. Ręczna maszyna do szycia marki Singer. Odarte, drewniane krzesło, z siedziskiem obitym brązową, aczkolwiek już nieco wypłowiałą skórą. Młynek do kawy masowej produkcji z lat siedemdziesiątych minionego wieku.

Na pierwszy rzut oka bezużyteczne przedmioty. Niegdyś dotykane przez teraz pokrytą już ziemią, zimną rękę, czekają w jej byłym, krośnieńskim, dwupokojowym mieszkaniu nad Odrą na haniebne wyrzucenie przez Potomnych. Choć nie chodzi tu o progeniturę w dosłownym tego słowa znaczeniu, „Potomnych” od wielkiej litery, jako kolektywną nazwę własną wszystkich pociech wychowywanych przez Amelię, która nigdy nie doznała bólu krzyża spowodowanego rosnącą macicą. Próżno dodać, iż poporodowe zmagania z nocnymi karmieniami zupełnie ją ominęły. Jednakże, jak rzekła w czasie pogrzebowej mowy jedna z jej latorośli, pomimo deficytu na polu pierwszych miesięcy, ciocia-babcia z nawiązką nadrobiła te straty w kolejnych latach życia licznego potomstwa swej siostry.

Klucz ma duże oczko – przydatne do lania wosku w Andrzejki, pomysłał Potomni. Nie zostanie wyrzucony. Miedź w wielu miejscach uległa oksydacji i pokryła się zielonkawym, ozdobnym nalotem. Dwa, trzy zamaszyste ruchy ręki i lśni jak na sklepowej półce, niczym świeżo importowany z Chińskiej Republiki Ludowej. Tandetny barek nie skrywał procentowych napoi ku ucieście próżności, lecz poźółkłe książki. Potomni z szeroko otwartymi oczyma przewertują każdą stronicę. Pokryty kurzem Singer wyda żalosny pisk podczas przekręcania wieka. Zmurszały pasek klinowy powoli wprawi w ruch leniwą zębatkę starej maszyny do szycia. Potomni odwrócić deksel i dojrzą odpadającą etykietę z rokiem produkcji 1904. Drewniane krzesło nawet nie zaskrzypi skromnie, gdy Potomni uraczą na nich swój, zmęczony wertowaniem bibelotów, wieloosobowy, rozciągnięty w czasoprzestrzeni, przyciężkawy zad. Oparcie solidnie podtrzyma grupowe plecy; jakość z DDR. Dziecięca ręka z rozrzwinięciem pokręci pokrętką kawowego młynka.

Nieme przedmioty, a opowiadają niebanalną historię. Wędrując ścieżką przeminionej egzystencji, prowadzą Potomnych za rękę ku rodzinnym sekretom i zapomnianym

* Inne teksty autorki ukazały się w „Filologii Polskiej. Rocznikach Naukowych Uniwersytetu Zielonogórskiego. Almanachu” 2023 (5) – <https://doi.org/10.61827/fp2023almanach5> [dostęp: 12.07.2023].

waśniami. Potomni wędrują po pokojach, nie wytarłszy ubłoconych butów. Niby po co? Po zielonej podłodze z linoleum już nie będą szurały znajome klapki w groszki. Błękitny fartuch z kieszeniami o białej lamówce spoczął na wieki wieków na wieszaku koło miedzianego klucza. Choć co praktyczniejsi z Potomnych zamaszystym ruchem przetrą wilgotną szmatą wyschnięte odciski glanów, mając na uwadze przyszłą sprzedaż mieszkania. Idzie wiosna. Odra wylała, użyźniając okoliczne łąki i roznosząc swój czarny muł tuż pod próg podwórka. Potomni wchodzi i wychodzi z mieszkania. Na podłodze błotnisty ślad pozostawiają dziecięce, czerwone lakierki, stukają niespokojnie ubłocone, wysokie obcasy współmałżonków. Łąki, niekończące się pola pełne rozsianych przez niepokorny wiatr rzepakowych kwiatów, mniszków lekarskich i rumianków, cieszą oczy zanurzonych we wspomnieniach Potomnych, po raz ostatni wyglądających przez obszerne okno poniemieckiej kamienicy. Z morza kwiatów wystają pojedyncze żdźbła zbóż, krowie łby spokojnie przeżuują pokorę istnienia.

In vino veritas, odczytują Potomni, odkładając tetrową ścierkę ubrudzoną resztkami oksydowanej miedzi z klucza. Przypomną sobie łacińskie modły i prawidła („In nomine patris et filii et spiritus sanctus”), które Amelia wbijała im do głowy. Zwłaszcza ten spirytus utkwił w głowie. Świętne trunki, których brakowało w barku. Za to były w nim inne, rodzinne dewocjonalia. Żrenica Potomnych rozszerza się, gdy wzrok pada na przedwojenną Biblię z pieczętką „A. Kaszukur, lekarz weterynarii”. Podkreślone fragmenty świadczące o tym, że mąż Amelii był osobą wierzącą, a Biblia nie służyła jedynie do prezentacji na półce i kolekcjonowania zakurzonych spojrzeń. Potomni przestudiują wujkowe zapiski, cytaty z klasyki, łacińskie przysłowia. Ot, człowiek na poziomie, nie byle kto. Wprawdzie od Amelii piętnaście lat starszy, lecz dobry kandydat do zamążpójścia, mówili rodzice do swej dziewiętnastoletniej latorośli. Nie to co ten Władek, dodawał ojciec Amelii, pospolity złodziejaszek, bez cienia ambicji. Ponoć ciocia-babcia za młodu kochała się z Władkiem w zbożu, ale (notabene) goła prawda (veritas, jak głosi napis na miedzianym kluczu) pozostanie na wieki wieków za Bugiem. Amen. Nastoletnia miłość, zew serc, pomimo braku zgody rodzicieli, tak nagle zakończony następstwami wojny. Nawet gdy krążyła plotka, że to właśnie Władek dla srebrzystych, niemieckich marek wypruł flaki rabinowej, nastoletnia Amelia posłuszna pożądaniu udawała się za snopki suchego siana. Dopiero egzekucja zakończyła tę tragiczną, młodzięcą miłość. Władek odbierał kwoty krów od miejscowych chłopów na polecenie niemieckich władz. Przez jego kreatywność krowich zadów nie mogła doliczyć się żadna ze stron; błąd w oczach okupanckich, nazistowskich władz niewybaczalny. Zbliżający się front wkrótce pokrył ognistą luną miejsce ulotnego szczęścia naszego denata.

Zamyślenie po lekturze przedwojennej Biblii przerwą znajome odgłosy za oknem. Ujadanie psa. Kocie zaloty. Cykanie cykad, w oddali bzykanie świerszcza. Dźwięki budzące nostalgię do czasów dzieciństwa, wakacji spędzanych w Krośnie, z ustami

zaciśniętymi na ciemnobrązowej butelce pomarańczowej oranżady, jednym uchem w cykadach, a drugim łapiącym wychodzące z krtani matki, dźwiękowe fale o Władku i flakach rabinowej. Tak, dla Amelii lepiej było, że po powrocie z Syberii, już na Ziemiach Odzyskanych, Kaszkur weterynarz odnalazł swoją pierwszą miłość – mówiła wtedy matka (notabene, jedna z pierwszych wychowanek Amelii). Wojna zmienia miłosne preferencje, podaź (lub jej brak) kreuje odmienny popyt. Po pracy w urzędzie ciotka mogła spokojnie z mężem weterynarzem omawiać książki, nie byle jakie, lecz literaturę na poziomie. Klasykę, sam Krasiński i Prus. Woluminy, które teraz indukują ból głowy u Potomnych. Co z nimi zrobić? Tony pożółkłych kartek, popękane obwoluty. Każda półka, szuflada, kredens otwiera swój brzuch i ukazuje wielometrowe, jak jelita, zadrukowane wnętrza. Perełki Potomni zabiorą, reszta pójdzie na makulaturę.

Kolejne ręce Potomnych z dreszczem na plecach będą dotykać wieka starej maszyny do szycia. Antyk. Rupieć. Pozornie bez wspomnień, maszyna nie była intensywnie używana. Targana między Ostrowem a Krosnem, jak mobilny ciężar wspomnienia rodzinnego domu z drewnianych bali, który pozostał za Bugiem; z którego prababka Anna zabrała na Ziemię Odzyskaną jedynie starą maszynę do szycia. Jak pamięć wygnania taszczona między miejscami zamieszkania sióstr Amelii, już wtedy wywoływała konflikty, kto urości sobie prawo do jej permanentnej ekspozycji po śmierci matki. Prababka Anna spoczęła na krośnieńskiej nekropolii, w obcej ziemi tak nagle w ziemi polskie wcielonej, jak nieudany przeszczep. Jednak dla mrówek, dżdżownic i martwych ciał ziemia jest taka sama; dla Anny była lekka. Aczkolwiek po jej odejściu każda z córek obiecała maszynę innym Potomnym. Spacerując dębową aleją w kierunku starej Skody Octavii zaparkowanej na poboczu, Potomni będą kurczowo trzymać płócienną torbę pokrywającą rodzinny skarb, chroniąc ją ramionami przed letnim deszczem, niczym matka tuląca niemowlę. Konary dębów otoczą Potomnych z Singerem w ręku, próbując okryć próbę szmuglerki swoimi karbowanymi liśćmi. Trzy siostry, trzy obietnice, jedna maszyna. Veni, vidi, amavi – pomyślą Potomni, otwierając bagażnik bordowej Skody.

Ponemieckie, niepokorne krzesło, z uporem odmawia zmieszczenia się w obszernym bagażniku. Lewa noga klinuje się w rogu złożonego, tylnego siedzenia, a prawa nieposłuszenie wystaje. Przedmiot odmawia przeprowadzki, niemo protestuje, milcząc pyta: gdzie podziały się znajome pośladki, te w korygującej bieliźnie, ubrane w brązowe rajtuzy i fartuch w groszki? Tak nagle zniknęły, jak wcześniej te przedwojenne kupry należące do czteroosobowej rodziny, których twarda mowa powodowała wibracje w popękanych drewnie? Siedzisko zmieniało właścicieli i kraje, tak jak kamienica, w której zamieszkiwała Amelia. Nie będąc tego świadome, przedmioty posłusznie poddawały się manipulacjom najpierw niemieckich, a potem polskich rąk, zmieniały kraje i właścicieli, przekraczały granice, nie opuszczając nawet pokoju. Kamienica została przyznana rodzinie Anny na poczet rekompensaty za zabużańskie mienie. Rodzina,

nieujęta w sposób dosłowny w notarialnym akcie, to rzecz względna. Tak spadek po prababce Annie przez nieprecyzyjność zapisu stopił się i pozostało tylko mieszkanie, które Amelia sama musiała wykupić, by móc pozostać w lokum nad Odrą.

Przekręcając korbką młynka, Potomni wspomną zapach czarnej kawy, tej z fusami na dnie szklanki. Amelia piła ją litrami, nie zważając na nazębny osad i skoki ciśnienia. Młynek grzecznie zajmie miejsce na tylnym siedzeniu Skody. Zębata młynka przeska-kuje wolno, potem coraz szybciej i nagle zamiera, jak gdyby i jego gnębiła rakowa zaraza.

Potomni przychodzą w formie różnorakich Bytów, w różnych parametrach czasowych, rozglądają się raz jeszcze po dwupokojowym mieszkaniu. Przedmiotów nie za dużo, nie za mało. Do ogarnięcia. Nie to co teraz. Potomni przekręcają klucz w zamku. Raz trzyma pęk kluczy kobieca ręka. Innym razem walczy z zamkiem nastoletnia wnuczka bezdzietnej kobiety. Trzydziestoletni mężczyzna dotyka klamki, zimnej jak martwe ciało Amelii. Inne potomne kończyny raz po raz otwierają, zamykają drzwi.

Drzwi trzasnęły. Rygiel wsunął się we wnękę futryny. Epoka minionego czasu zakończyła się i jak wieko trumny Amelii pokryła zmurszałą ziemią. Niespełnione marzenia, nastoletnie amory, niepoczęte dzieci – niczym przedmioty pozostawione przez Potomnych – pozostały w zaryglowanym, dwupokojowym mieszkaniu w Krośnie nad Odrą. Barek z wyprutymi – jak flaki zabużańskiej rabinowej – wnętrznościami pozostał, a jego zawartość powędrowała zdobić bibliotekę Potomnych. Powojenna Biblia spoczęła w sąsiedztwie antycznego Singera. Obite skórą krzesło podtrzymuje teraz zad piszącej te słowa, niemo znosząc swój los. Miedziany klucz, otwieracz do wina pomagają złagodzić przemijalność istnienia i zapisać te słowa, zanim pamięć o Amelii pokryje kurz ulotnej, nieistotnej codzienności, powtarzalnej jak obroty kawowego młynka.

HRABINA TOTFEN

Herbata kapłała ciurkiem z cienkiej, papierowej „tytki”, jak hrabina zwykła wołać na torebkę od herbaty ekspresowej. Hrabina odłożyła ją delikatnie na bok na talerzyk od filiżanki w konwalie, zamyślona. Tylko ta filiżanka została. To było tak dawno temu. Jej skóra była jeszcze gładka, niepomarszczona, nienaznaczona czasem ani biedą, portfel suto wypełniony. Młoda hrabina wołała wtedy:

– Janie, czy wszystko już posprzątane?

Jan przybiegał pospiesznie, stawał przy hrabinie z głową pochyloną, z przygarbionymi plecami. Hrabina nie lubiła czekać, złość na jej eleganckim licu szpeciła całokształt, tę scenę, moment z przeszłości, idyllę, która choć kiedyś istniała naprawdę, wydawała się tak odległa, że aż efemerycznie niebywała.

– Tak, hrabino, wszystko już posprzątane.

– Czy na pewno?

Lico Jana bladło. W myślach szybko przebiegał po wszystkich pokojach, kątach. Sześć sypialni, dwie łazienki. Schowek za kuchnią. Kręte, dębowe schody przetarte na mokro. Salon z owalnym stołem. Kredens, półki za szkłem. Tym razem Jan sprawdził dwa razy, czy konwaliowa zastawa nie pokryta jest warstwą kurzu, co wytknęła mu hrabina ostatnim razem. O kuchnię dbała kucharka, lecz tego dnia Jan zajrzał i tam, poganiając panią Aleksandrę, by estetyczniej obierała ziemniaki.

– Tak, hrabino, wszystko lśni.

Bruzda na czole hrabiny grubiała, Jan poczuł pot spływający za kołnierz białej koszuli. Koszuła krępowiała ruchy w trakcie sprzątania, lecz Jan znosił to dzielnie. Taki był wymóg jego chlebobawczyń: wszystko miało być nieskazitelnie czyste, nawet koszula świniopasa.

– Chodź, proszę, za mną – powiedziała to tak dostojnie, uroczyście, jak gdyby była damą z francuskiego dworu. Poruszała się bezszelestnie, unosząc stopy w trzewikach w taki sposób, iż niski obcas nawet nie stukał o kamienną podłogę. Zaprowadziła Jana do jadalni i kazała schylić się pod kredens.

Posłuszny sługa zgiał się wpół i zzieleniał, wyciągając spod kredensu kolorowe papierki po ruskich cukierkach. Te same, jakimi hrabina zwykła częstować gości przychodzących na herbatkę popijaną z filiżanek w konwalie.

Teraz jej pomarszczona twarz zzieleniała ze wstydu na samo to wspomnienie. Jakże ja byłam młoda, próżna, ukontentowana dobrobytem, myślała. Perfidna, pedantyczna, skłonna do kontroli. Żeby celowo rozrzucać papierki po cukierkach, by skontrolować, czy Jan dokładnie sprząta? Drżącą ręką odłożyła torebkę od herbaty – „tytkę” – na bok. Na wąskim grzejniku w kuchni leżała stara gazeta, a na niej suszyły się inne „tytki”, które zubożała hrabina używała ponownie. Spauperyzowana, poznała życie bez wielkiego

domu, pozbawiona rodziny, na terenach tak jakby celowo, przekornie nazywanych odzyskanymi; dla kontrastu z wieloma utratami hrabiny.

Pokręciła głową, chcąc jak najdalej odsunąć się od wspomnień z przeszłości, wytrześć je z głowy jak mokry pies wytrzepuje mokre futro. Ubrała na szyję jedwabną apaszkę, która jak zastawa nadal boleśnie przypominała o zamożnej przeszłości. Kremowa, gładka. Poprawiła ją przed lustrem i wyszła z małego, najemnego pokoju na poddaszu w Lubnie, trzaskając drzwiami.

– Przyszłam na proszony obiad – powiedziała, zasiadając przy stole młynarza dwa domy dalej. Dom młynarza był prosty, z jednym oknem od strony ulicy, gankiem z sosnowych desek i kuchnią, która jednocześnie odgrywała rolę salonu. Na proszonych obiadach znów czuła się ważna, dostojna. To właśnie przed tym domem zrobiona będzie fotografia, która zawiśnie w odległym, podmokłym kraju, zdobiąc ścianę nad schodami. Pisząca te słowa wejdzie na górę tysiąc razy, tysiąc jeden z nich zejdzie, zanim dojrzy na czarno-białej fotografii sylwetkę hrabiny, dostojnej w swej biedzie, wystrojonej w białą apaszkę, niczym w białą flagę. Na fotografii hrabina stoi prosto, z podniesioną głową, lecz mimo to biała apaszka zdradza sekret: hrabina kapitułuje, poddaje się, woła: „mea culpa, przepraszam, Janie, wybac mi ten wybryk z przeszłości, te papierki po ruskich cukierkach, które rozrzucałam pod kredensem skrywającym zastawę w konwalie”.

Ponoć hrabina podlewała własnym moczem pomidory, hodowane przed jedynym oknem w jej pokoju na poddaszu. Krążyły plotki, iż otruła pierwszego męża. Wszyscy wołali na nią hrabina, pół żartem, pół z zazdrością i poważaniem. Hrabina burzyła się, „księżna, z rodu Światopełk-Mirskich” – poprawiała pseudo-egalitarne sąsiedztwo powojennego Lubna. Do teraz na jej zniszczonym grobie pojawiają się znicze i kwiaty; na mogile, na której jeszcze za życia kazała sobie wykuć „żyła lat 75”; senilny wiek nie pasuje do wysokiego stanu. Ponoć dożyła prawie setki.

Czy to wszystko prawda, nie wiem; ludzie opowiadają tak wiele, nie sposób tego zweryfikować. Pozostała po niej tylko mogiła i ta fotografia sprzed młyna w Lubnie, jedna z nielicznych ukazująca w komplecie mych przodków po kądzieli, nowo przybyłych na lubuskie tereny: dziadka Wincentego – młynarza, babkę Apolonię i jej siostrę Amelię, czteroletnią Grażynkę i czternastoletnią Renatę. Pomiędzy nimi pani (hrabina? księżna? uchodźczyni?) Totfen, stojąca dumnie, niepasująca do całości, jak puzzel z innej układanki, którą nazywamy życiem na wygnaniu.

Z podziękowaniem dla mamy, Grażynki z fotografii nad schodami, za przeżrebanie pamięci w poszukiwaniu strzępów informacji o koczku hrabiny.

SAHARYJSKI WIATR

Szczupła, smukła sylwetka zadbanego mężczyzny w średnim wieku spoczywała na starej, pokrytej brązowym kocem, pryczy. Jego biała koszula była świeżo wyprasowana, jak gdyby troskliwa żona dopiero co mu ją podała, czule całując w czoło; grafitowe guziki były dokładnie zapięte, co do jednego, a jego śniada, drżąca ręka kontrolowała ewentualną guziczną niesubordynację. Wyprostował sylwetkę i chrząknął. Zastanawiałam się, skąd wytrzasnął żelazko, w tym zapomnianym przez Boga i społeczeństwo miejscu? Brodę i wąsy nosił zadbane, po europejsku, gładko ogolone. Prawdę mówiąc, takiego też traktowania się spodziewał: cywilizowanego, wiejącego duchem egalitaryzmu i trans-narodowościowej solidarności. Zamiast tego zderzył się ze światem bezdusznych praw, twardego łóżka i niedogotowanego mięsa. Mimo to, wyprasował koszulę na wizytę lekarza. Był to do tej pory jedyny zadbany z wyglądu pacjent, którego odwiedziłam jako lekarz zaufania w ośrodku dla uchodźców w Ter Apel. Nazwa ta, znana nawet za granicą, oznacza małą wieś w południowo-wschodniej części najbiedniejszej prowincji Holandii – Groningen. Kiedy latem roku dwa tysiące dwudziestego drugiego zdjęcia sprzed bramy ośrodka obiegły świat, moje skromne nazwisko zawitało w anglojęzycznych mediach: „lekarka bije na alarm: jeszcze nigdy w życiu nie wypisała tylu recept na antybiotyki. Setki ludzi koczują pod gołym niebem przed bramą ośrodka dla uchodźców w Ter Apel. Groźba epidemii świerzbu, chorób zakaźnych, diabetycy pozostawieni bez insuliny”. Po wywiadzie dla Medisch Contact, medycznego tygodnika w Niderlandach, koledzy lali na mnie pomyje, mydliny, chyba nawet wodę z sedesu. Czułam wstyd; pracowałam w Ter Apel raz na jakiś czas w regularnej przychodni ośrodka, jako lekarz zaufania odwiedzałam pacjentów częściej. Byli to uchodźcy w trakcie strajku głodowego. Po reakcji kolegów dzwoniłam do redakcji, błagając, by usunęli tekst. Po tygodniu sytuacja w ośrodku eksplodowała: z powodu przepełnienia i niedopatrzeń doszło do zgonu niemowlęcia, inspekcja wydała bezwzględny raport i po raz pierwszy w historii Lekarze bez Granic wybrali się na „misję” w Niderlandach, parkując organizacyjnego busa przed bramą ośrodka. Organizacja stworzona przez „pierwszy świat” w celu pomocy „trzeciemu światowi” nagle okazała się niezbędna we własnych strukturach. Ulżyło mi, że również ktoś z zewnątrz dostrzegł powagę sytuacji, lecz gorzki smak pozostał i od tego czasu unikałam pracy w Ter Apel. Ahmed w nienagannej, wyprasowanej koszuli był pierwszym od wielu miesięcy pacjentem, którego tam odwiedziłam jako lekarz zaufania.

Usiadłam na niebieskim materacu koło pacjenta. Najwidoczniej od wielu lat studiował zwyczaj zachodnie, licząc się z faktem, że prędzej czy później będzie zmuszony opuścić swój kraj. Mówił wolno, wyraźnie, po angielsku, z francuskim akcentem. Wyraźnie podekscytowany wspomagał gestami swoją opowieść, relacjonując, jak

opuścił formalnie nie do końca istniejącą, nieuznaną przez wiele krajów ojczyznę – Saharę Zachodnią. Rozejrzał się dookoła: w pokoju stały dwie stare prycze pokryte sfilcowanym kocem, pod którym spało już pewnie przed nim wielu deportowanych nieszczęśników. Jego wzrok padł dalej na małą szafkę bez zamka, którą musiał dzielić ze współlokatorem. Wstał z pryczy i podszedł do szafy, wyciągając z niej mały pakunek w plastikowej torbie, skleionej starą, niebieską taśmą klejącą. Torba skrywała więcej ziaren piasku i niedoli aniżeli dokumentów. Podarta taśma zdradzała, że zawartość paczuszki wielokrotnie była rozpakowywana i oglądana. Znajdowały się w niej wszystkie jego najważniejsze dokumenty: dowód osobisty wydany przez Saharyjską Arabską Republikę Demokratyczną, marokański paszport, zaświadczenie o internowaniu, wypis z więzienia, listy od holenderskich służb imigracyjnych IND, a także schematy jego opatentowanych wynalazków. Ahmed dodał, iż gdy wychodził z pokoju na krótki spacer po zamkniętej części ośrodka dla uchodźców w Ter Apel, zawsze zabierał dokumenty ze sobą; to papierowe zawiniątko zawierało w sobie jego przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Najmniejsze nawet ryzyko zaginięcia tej paczuszki wiało grozą utraty tożsamości i zaprzepasczeniem marzeń o beztróskim istnieniu. Pocałował pakunek i drżącą ręką wkładał sakralną zawartość z powrotem do worka. Relacjonował, jak przed kilkoma miesiącami opuszczał swój dom w Saharze Zachodniej. Przed domem z miękkiej gliny czule pocałował swoje siedmioletnie bliźniaki na do widzenia, przeczuwając, iż długo nie będzie mógł patrzeć w te cztery identyczne, brązowe, niezbrukane plugawą polityką, śmiejące się oczy. Po pożegnaniu skrupulatnie zapakował dokumenty w cztery warstwy nieprzemakalnej folii i przymocował je do pasa na piersiach. Wiedział, że bez dowodów prześladowania nie będzie miał cienia szansy na azyl w Europie. Dokumenty musiały przetrwać przeprawę przez Morze Śródziemne i dalszą wędrówkę w głąb kontynentu. Przezorny Ahmed postanowił je maksymalnie zabezpieczyć. Teraz dumnie manifestował efekt swoich wysiłków i opowiadał, jak to taszczy pakunek ze sobą na każdą wyprawę na podwórze zamkniętego ośrodka dla uchodźców.

Spojrzałam w jego smutne, czarne, zapadnięte oczy. Od tygodnia nic nie jadł. Wiał od niego zapach acetonu, katabolizmu białek. Odór niekoniecznie przyjemny, wołałabym perfumy jako woń do wdychania podczas długiej rozmowy. Jako lekarz zaufania nie mam limitu czasowego. Praca ta jest specyficzna; w dużej mierze polega na wyuczonym milczeniu. Uważnie słucham, jestem. Uświadomiłam sobie, iż tym razem to moje bycie i słuchanie było chwiejne, w myślach pojawił się imperatyw otworzenia okna. Wstałam z pryczy i gestem wskazałam okno, a Ahmed przytaknął. Dlaczego zdecydował się na strajk głodowy? – zapytałam w końcu. Uśmiech zagościł na jego zapadłych policzkach, z ironii o własną głupotę. Opowiadał, jak świadomie wybrał na cel podróży Królestwo Niderlandów. Zastanawiał się krótko nad Republiką Federalną Niemiec, lecz wygrał kraj wolności, tolerancji i zasad – ideały napawały nadzieją.

– Ach, jakże wtedy byłem naiwny – powiedział doniośle, po czym wypił duszkiem wodę z brudnej, pokrytej osadem czarnej herbaty szklanki, kontrastującej z wyprasowanym rękawem białej koszuli. Kraj, do którego w przebiegu lat wyemigrowała większość jego politycznie aktywnych znajomych – Francję – od razu skreślił z listy potencjalnych kandydatów, choć znał płynnie język francuski. Tereny Sahrawi do 1956 roku były obszarem Protektoratu Francuskiego, jednak Francja nie uznała niepodległości państwa Berberów, co godziło w jego dumę i powodowało krwistą ranę w wirtualnych planach, że również z zagranicy będzie w stanie lobbować w sprawie uznania swojego państwa za niezawisłe i niepodległe.

– O ironio! – powiedział jeszcze głośniejszym głosem, gładząc niewidoczne pomarszczenia na białej koszuli. – Dlatego się tutaj znalazłem, bo Holendrzy uznają Saharę Zachodnią. Niestety, nie pomyślałem o jednym, małym aspekcie – że służby imigracyjne uznają mnie za obywatela Maroka, które z kolei potwierdzi, że jestem ich obywatelem... Maroko od lat nie uznaje niepodległości Sahrawi i rości sobie prawo do terenów Sahary Zachodniej. Ale tak, fakt faktem, posiadam marokański paszport. Pogładził pakunek opakowany folią i taśmą. Mówił dalej o literaturze europejskiej, o swoich przygotowaniach do emigracji. Jak żywa odgrywała się przede mną scena z *Procesu* Kafki. Ahmed podniósł swoje wychudzone członki ze stalowego łóża i podszedł w kierunku otwartego okna. Zobaczyłam małego, sześćoosobowego białego busa, który zatrzymał się pod oknem. Wiedziałam, że tym środkiem transportu przewożone są osoby z nakazem deportacji.

Dokąd Ahmed miał wracać? Do więzienia? Alternatywą było wyrzec się swojej tożsamości i poczucia przynależności etnicznej i narodowej. Równie dobrze mógłby udać się do Francji, jak jego znajomi, by tam wieść pasywną egzystencję i nosić brzemię bezpłodnego dla spraw kraju wygnańca. Mimo milczącego przyzwolenia na to, co miało się za chwilę wydarzyć, czuł lekkie zdenerwowanie. Przyłożył prawą dłoń na lewym nadgarstku i czuł, jak jego puls staje się coraz szybszy. Usłyszałam odgłos kroków na schodach. Ciało Ahmeda pokryło się słoną ciecżą, a w umyśle jego pojawiły się obrazy z okresu przed aresztowaniem, jak później relacjonował – wtedy też czekał cierpliwie, pogodzony ze swoim losem, nie wiedząc, że czekały go długie miesiące z dala od rodziny. Nagle blizny na plecach po więziennym biczowaniu znów zaczęły boleć, jak gdyby ciosy te zadane były dnia poprzedniego.

Mimo złego samopoczucia, odruchowo zaczął pakować torbę; najlepiej jest być przygotowanym na każdą ewentualność. Pierwszą włożył do niej zabezpieczoną teczkę z dokumentami, potem telefon i ciuchy. Odgłosy kroków stawały się coraz wyraźniejsze, teraz również było słychać głosy mężczyzn mówiących w obcym dla niego języku. Chciałam coś powiedzieć, że osoby w trakcie strajku głodowego nie wolno przemieszczać, lecz mimowolnie milczałam. Wiedziałam, że odmowa przyjmowania pokarmów używana była jako broń przed deportacją. Jednak Ahmed przestał jeść z innego powodu. Gdy zapytałam się, dlaczego to zrobił, dodał tylko smutno: aby zarządca ośrodka dał mi

telewizor do pokoju. Nie mógł przełknąć tej całej sytuacji, swojej naiwności i głupoty, więc jego ciało zaczęło odmawiać pokarmów i werbalizować irracjonalne życzenia. Kroki na korytarzu zintensyfikowały się. Zaczęło mu się kręcić w głowie. Podobieństwo tej sytuacji do tego, co zdarzyło się przed aresztowaniem w Sahrawi, powodowało, że jego umysł powoli utożsamiał te dwa momenty jego życia, skleając je w jeden obraz w zakręcie hipokampa. Próbował odpędzić od siebie te myśli i wygnać więzienne obrazy z umysłu, lecz te uparcie odmawiały ewakuacji. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Próbował wstać i otworzyć je, by powitać oprawców, którym nie miał nic osobistego do zarzucenia. W końcu po prostu wykonywali swoją pracę. Dobre wychowanie kierowało jego nogi w kierunku drzwi, jednak nagle wszystko ogarnęła bezdenne ciemność nocy i jego ciało runęło bezwładnie na odrapaną podłogę z linoleum.

Obudził się w szpitalu. Kiedy otworzył oczy, pomyślał, że to Allah dał mu nową szansę. Nieśmiało rozejrzał się dookoła. Nigdzie nie było widać ani policji, ani pracowników służb imigracyjnych. Do pokoju weszła ubrana na białą pielęgniarka, w nienagannie wyprasowanym fartuchu. Kojąco uśmiechnęła się do niego. Poczł się wolny, jak człowiek pustyni, potomek nomadów. Nieskrępowany, niczym saharyjski piasek, wolny od ludzkich ograniczeń terytorialnych, od zagięć na ubraniu. Piach przemieszcza się swobodnie między spornymi rejonami, jak psotne, małe dziecko; tabula rasa, nieświadoma tego, że na świecie wszystko ma określoną przynależność, wszystkie gatunki roślin i zwierząt są opisane, a piasek sklasyfikowany jako kwarcowa skała osadowa, o średnicy mniejszej niż dwa milimetry. Ahmed wiedział, że wolność jest krótka i ułudna. Spojrzał na płaski ekran telewizora wiszący nad łóżkiem i po raz pierwszy od wielu tygodni uśmiechnął się.

Saharyjski piasek zawiewa z kąta w kąt. Przemieszcza się tam, dokąd zanieś go banalna ciekawość i ciepły nadatlantycki wiatr. Nie respektuje wyznaczonych przez ludzi granic, buntowniczo zawiewa po oczach. Sam w sobie niewinny, podjudzany wiatrem popełnia różne zbrodnie. Suchy, saharyjski piasek jest bez wiatru wybrakowany, stacjonarny, zniewolony. Wiatr wieje z północy – piach rusza w tany. Wiatr wieje z południa – kwarcowa skała osadowa wykonuje zadziorne fikołki. Wiatr wieje z zachodu, pomyślał Ahmed, spoglądając za okno. W ciszy opuściłam jego szpitalny pokój. Moje zadanie lekarza zaufania dobiegło końca: pacjent zaczął znowu jeść. Wysłałam na dwór i poczułam listopadowy, zimny wiatr na karku. Podciągnęłam kołnierz płaszcza ku górze. Wiatr wiał ze wschodu, byłam tego pewna; widocznie każdy ma swój wiatr i swoją własną definicję wolności.